

Wydawca: Jan Mnochy. Król. Huta, Październik 1928 r. Redaktor odpow.: Jan Mnochy

O pracę społeczną w Polsce.

Podobno powtarza się historja narodów. Czyżby błędy ojców tkwiły w krwi idących pokoleń i wiodły do jednakich przeznaczeń? Czyż trzeba uwierzyć w przeznaczenie, którego zmienić nie można, w jakiś atawizm nie wyzbyty, w taki, a nie inny byt, który się musi dokonać, mimo wszelkie najżywsze i najnamiętniejsze, a jakże różne tęsknoty? Czyż uwierzyć w nakaz nieodwołalny, który zmierza bezwzględnie do swego celu, może pomimo próby oporu, i nieraz twardy, uporczywy ból o inne życie? Czyż to, co może być dziś nauką z przeszłości, jest rzeczywiście przeznaczeniem?

Życie, już nie jednostki, ale społeczeństwa, wobec bezmiarów bytu jest jakąś łódką maleńką na bezgranicznym oceanie. A do walki z ogromem bijących fal jedno tylko kruche wiosło. Na pozór znaczy to mniej, niż nic...

Zda się czasem, że już niema podstawy do wiary w życie, do nadzieji w przyszłość. Więc wobec tego trzeba zgrzeszyć rezygnacją i połamawszy ster, oddać się na łaskę burz aż do zatracenia w głębiach bez dna. Bowiem każdy odruch w przeciwnym kierunku byłby porywem z motyką na słońce, każdy wysiłek śmiesznym skokiem ludzkiego liliputa.

Nie, stanowczo nie!

Ale musi być wiara w cel bytu, skoro się już istnieje, musi być nadzieja plonu i miłość idei. Miłość musi się sercem i krew w żyłach poruszać. W imię jej musi stać się każda twórczość, każdy zamiar. Nadzieja jest matką głupich, ale bezczynna. To prawda. Nadzieja w trudzie i pracy jest matką cudów.

Wiek XVI w Polsce, nazwany złotym, bowiem był doprawdy złotym triumfem myśli i słowa polskiego. Panowania przedostatniego z Jagiellonów, Zygmunta I-go, najdostojnieszego z monarchów, którego respektowali nawet wrogowie. Polska u szczytu potęgi, mocarstwo wielkie obszarem. A naprawdę Polska, co „nierządem stoi", krzywda mieszczan i chłopów, nie tak rzadka samowola niezorganizowanej należycie administracji, słaby Rząd i Król niemal bez władzy, samolubstwo i przekupstwo, oschłość uczuć i brak poświęcania się dla celów własnego Państwa i Narodu. Mury potężnej rzeczypospolitej zarysowane od podstaw, od ziemi idzie głuchy pomruk burzy, która świetność dzisiejszą rozniesie w proch i dumny kark Polaka zegnie w jarzmo niewoli. A na widowni życia polskiego demagogja, wyzysk ciemnoty mas, krzykliwy a głupi i ciemny szlachetczyna, co na zagrodzie równy więcej niż wojewodzie, boć pan półtorej duszy chłopskiej, w krypciach chodzi, karabelkę na sznurku nosi, ale króla wybiera i ba, sam może być królem wybrany. I to rozpaczliwe „veto", najwłaściwszy polski monarcha, bo jednem słowem zniszczy najzacniejsze i najcenniejsze poczynania.

Zło, będące jeszcze w zarodku po śmierci Zygmunta Augusta sięgnie po burzycielską władzę.

Czasy Zygmunta III-go Wazy, to już zbyt wyraziste widmo smutnej przyszłości. Rzuca gromy z ka-

zalnicy sejmowej natchniony Piotr Skarga, kaznodzieja królewski, o miłość Ojczyzny błaga, o rzucenie precz samolubstwa i ucisku słabszych, o poświęcenie się sprawom Rzeczypospolitej. Bowiem na horyzoncie dziejów niedola Polski, której imię wykreślą z rodziny narodów i świetność polską przygnębią.

Dziś?

Po wiekach, czyż nie dość mógłby wołać do nas Piotr Skarga o miłość Ojczyzny, poszanowanie władzy i posłuszeństwo?

A ma być Polska na miarę mocarstwa...

Z kurzawy wojennej wyrosła jakaś ciemna władza namiętności, która tysiącem ramion polipa omota serce. Żerowisko na krwawych bojowiskach, na grobach szaleńczych bohaterstw. Jakieś zapatrzenie się w siebie samego, w własną tylko dolę. Miłość narodu jakże często nazywa się nacjonalizmem i najohydniejszym grzechem demokracji dzisiejszej. Arcyśmieszna demagogja międzynarodówek i tworzenie kast. A wszystko zło i wszystką niedolę ma uciszyć dobra macierz, Polska. Dobrze, Polska, ale kto w tej Polsce? Czy nie umiemy żyć społecznie, czy jesteśmy zbyt osłabieni?

Cały niemal ciężar życia społecznego i narodu rzuca się na barki Rządu. I wmawia się sobie poniekąd, iż jest Rząd, a więc wszystko zrobione.

Jednak Rząd nie może czynić tego, co może uczynić Naród. Tylko wysiłkiem powszechnym możemy budować.

Cudem przez lat kilka ostała się Polska z papieru, która miała wszystko dać nie biorąc wzamian nic, lub prawie nic. To było niemałą depprawacją dusz. Nie miała walorów praca licząca się z każdym dniem, niemal niemożliwą była uczciwość, bowiem nie dawała kęsa chleba do syta. Więc wezwana walka o byt, poszukiwanie obcych wartości z krzywdą dla siebie i swoich i triumf obcych wyzyskiwaczy... W niebezpieczeństwie ostatecznem stworzyliśmy tę wartość, na razie niemal, że fikcyjną. Nie dostosowaliśmy do niej własnej wytwórczości i pracy. Wahanie się i niepewność, namiętność do niewspółmiernych zysków, zaślepienie w egoizmie. Za mało oddania się sprawom ogółu i związania z niemi swego życia. Jakieś oddzielanie się poszczególnych grup społecznych, zamiast ich współdziałanie. Wykorzystywanie z wszystkich stron. Solidarność drobiazgu, miast solidarność ogółu. Dziwne, utopijne hasła, którvch rzeczywistość nie cierpi i mści się.

W okresie niewoli wszelkie wskazania i potrzeby nasze zaspakajaliśmy próbą społeczną. Zdaje się więc, iż powinniśmy raczej tworzyć społecznie, niż państwowo. Osłabło jedno, nie ukształtowało się jeszcze drugie. Wszystkie działania zcentralizowaliśmy w jednych rękach, żądając pełnego z próżni, za mało współdziałając.

W przedstawicielstwie ustawodawczem rozdrobniliśmy się. Każdemu zda się, że uosabia wolę i dążność całości. Idee swoje wylęgłe w ciasnem podwórku pcha na najpierwsze miejsce ponad interes ogólny. Solidarność grup więcej może znaczyć, niż solidarność narodowa. Solidarność grupy podpisze wyrok bezwładu i niedoli na życie całości.

Gdzieżeś jest Piotrze Pawęski abyś posły i senatory gromił?

Praca nad utworzeniem wspólnego życia musi się oprzeć na barkach wszystkich. Najważniejsze zagadnienia bytu nie mogą polegać na przypadkowej większości policzonych głosów.

Zdrowy stosunek pracy i kapitału, uczciwa i rozumna reforma rolna, godziwy zysk, należyta nagroda za pracę, to należy do nas, do inicjatywy wszystkich.

Jakże jeszcze trudny dostęp mają do nas idee społeczne i państwowe. Jakże ciężko jeszcze nam wyleźć poza obręb ciasnych, maleńkich grupek.

Wydaje się czasem dziwnem, iż z pośród mgły obojętności, czy bezruchu ożywają tak cudne kwiaty bohaterstwa.

Władza może i winna być demokratyczną, ale musi mieć władzę. Musi być Rząd mocny, nie ciągle tymczasowy, zależny od przypadkowych nastrojów grupek i Prezydent Rzeczypospolitej musi być naprawdę Głowę Państwa. Ich rzeczą będzie zręby Państwa murować, już nie w niepewności jutrzejszych niespodzianek.

Stańmy wszyscy do intensywnej pracy społecznej. Pole tej pracy zamało zorane i dużo jej leży odłogiem.

Sprawa inwalidów, repatrjantów, na dalszą przyszłość obliczona, pomoc bezrobotnym, opieka nad młodzieżą, wychowanie sierót — oto schemat, a raczej część jego wymagająca demonicznych wysiłków. I na takie wysiłki musimy się zdobyć. Palące potrzeby społeczne nie mogą zależeć od dobrej woli nielicznych filantropów.

Niechaj nie będzie w Polsce jednego obywatela, któryby nie należał do społecznego stowarzyszenia Niechaj nie będzie Polaka, któryby nie imał się pracy społecznej. Otwórzmy sobie serca, zaduśmy w zarodku zarzewie nienawiści klasowej, ufajmy sobie! Niechaj nie będzie w Polsce zawodu, goryczy i głodu. Niechaj nie będzie w Polsce ludzi mocnych, którzy siły swe tracą bezpłodnie zwalani zawiścią i zazdrością drugich.

Żyjmy z myślą najpierw o drugich, potem o sobie!

Są ludzie mocni i słabi, zdolni i mniej zdolni. Niema klas i stanów, jest Polska i Polacy.

Niechaj ożyje w nas zapał, który przez półtora wieku duszę polską ocalał.

A wzejdzie w słońcu ożywczem bujny plon polskiej pracy i stanie Polska aż hen — na utęsknionych porohach.

Jak.



Przepowiednie o Polsce i Śląsku.

Doktór Habdank wydał książkę, w której opisuje przepowiednie o Polsce i G. Śląsku, jakie wypowiadały na seansach spirytystycznych duchy naszego wielkiego poety Krasińskiego, papieża Grzegorza VII i innych znakomitych ludzi. Zygmunt Krasiński zapowiada, iż Polska będzie wielką i zwycięską. Polska ma za sobą świetną przyszłość, która w chwili odpowiedniej zmartwychwstanie i zacznie działać, gdyż Polska zginąć nie może.

Duch papierza Grzegorza VII przepowiada bliski upadek Anglji z powodu wojny i utraty Indyj. Anglja zostanie podzielona, zmniejszona (bez Indyj i Irlandji). Duch dra Ohorowicza przepowiada, iż w krótkim czasie Francję czeka wojna z Niemcami (o to dziś nie trudno), w której Polska pomagać będzie Francji. Wojnę tę Niemcy sprowokują (jak zwykle). Rozstrzygające walki będą w Westfalji, będzie ona krótka ale krwawa.

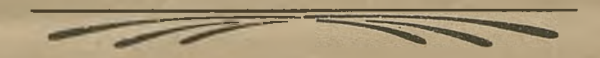
Niemcy zostaną pokonane i ostatecznie unieszkodliwione, Francja zaś pozyska prowincje Nadreńskie oraz kolonie. Polska stopniowo będzie się rozwijać i stanie się jednem z pierwszorzędnych państw europejskich. Stanie się to około r. 1958. Walki i zawieruchy będą trwały około 10 lat (tak jak i ostatnio od 1914 r. — historja się powtarza). Po tej wojnie nastąpi wojna Ameryki z Japonją, potem nieporozumienie między Anglją i Polską z powodu Gdańska (wieczna kość niezgody), zakończone na korzyść Polski.

Sprawy G. Śląska wypadną ostatecznie również na korzyść Polski. Z Czechami będzie konflikt, ale Polska dojdzie z nimi do porozumienia i odzyska tam swe ziemie. W sprawie Górnego Śląska przypadnie Polsce więcej, niż się spodziewa, ale dopiero po długich i ciężkich cierpieniach...

Po przeczytaniu powyższego nie łudźmy się, że pieczone gołąbki same przyjdą do gąbki... Chcąc dożyć lepszej przyszłości, nie można z założonemi rękami oczekiwać jej, a trzeba uczciwie, zakasawszy rękawy, zapracować na nią; jeśli chcemy być warci jej. Starajmy się więc tępić w narodzie naszym wszelką nieprawość, niegodziwość, sobkostwo, lichwę, chciwość i swarliwość. Nie powinniśmy cierpieć żadnej nieuczciwości, fałszu, obłudy, próżniactwa, pychy i t. p. Musimy zabijać i tłumić niemiłosiernie zarazę bolszewizmu, wszczepianą przez judaizm i jego niewolników. Cały judaizm Anglji, Niemiec i Rosji wspólnie zgodnie pracują i czyhają na naszą zgubę.

A więc do pracy, do dzieła! W myśl naszego Wieszcza i Proroka przyszłości mistrza Słowackiego: „Napełń się Przenajświętszym Ducha Sakramentem, a w Duchu będziesz rządził światem jak okrętem!" Pokażmy i zaświadczmy przed światem, że żyje w nas jeszcze duch Boży, ten staropolski Duch Bolesławów. Łokietków, Zygmuntów, Batorych, Żółkiewskich, Sobieskich, Czarnieckich, Kościuszków i naszych Wieszczów, Proroków i Mędrców, a zadziwimy świat i stworzymy drugi cud wobec zbliżającej się groźnej burzy dziejowej, która nas nie ominie. W górę serca! Czuwajmy i pracujmy, gdyż nie wiemy dnia, ani godziny, kiedy przyjdzie zdać sprawę z naszych uczynków przed tronem Najwyższego.

Kaski.



Rzeczy ciekawe.

Departament konsularny M. S. Z. dokonał żmudnej. ale koniecznej i ciekawej pracy, polegającej na obliczeniu: ilu nas jest?

Według danych, zebranych przez polskie placówki konsularne, poza granicami Polski mieszka 6.600.350 Polaków.

Z wielkiej tej liczby na obczyźnie mieszka:

w Europie	2.837.700	Polaków
„ Ameryce	3.742.150	„
„ Azji	18.950	„
„ Afryce	1.250	„
„ Australji	300	„

Z krajów europejskich najwięcej Polaków mieszka:

w Niemczech	1.100.000
„ Rosji europejskiej	650.000
we Francji	500.000
na Litwie	200.000
w Czechosłowacji	137.800

Dalej idą: Łotwa (83.000). Rumunja (56.580), Gdańsk (30.000). Węgry (17.000), Jugosławja (15150) Belgja (12.600), Danja (12.000), Austrja (8.000), Anglja (5.000), Holandja (4.000), Luksemburg (3.000), Estonja (1.000).

Wreszcie w mniejszej liczbie mieszkają Polacy: we Włoszech (980), Szwajcarji (800), Finlandji (500), Szwecji (200), Bułgarji (50), w Grecji i Hiszpanji (po 20), w Norwegji i Portugalji po kilku.

W Ameryce najwięcej Polaków mieszka w Stanach Zjednoczonych — 3.500.000. Potem idzie Brazylja — 140.000' z czego w jednym stanie Paranie mieszka 120.000 Polaków, Kanada — 72.000 Argentyna 27.000, Kuba — 2.000, w małych republikach Południn. Ameryki — 1.000 i w Meksyku — 150.

W Azji najwięcej Polaków, bo 15.000 przebywa na Syberji' 3.000 w Chinach, 800 w Turcji,

80 w Persji i 70 w Japonji, pozatem pewna liczba Polaków mieszka w Indjach Holenderskich.

W Afryce mieszka 1200 Polaków w Algierze i 50 w innych kolonjach.

Wreszcie w Australji polskość reprezentuje 300 osób.

Dane te, mozolne do zebrania, dotyczą roku ubiegłego i niewątpliwie nie obejmują wszystkich.

Wszędzie jesteśmy! Niema zakątka ziemi, gdzieby nie było Polaków, a wielu z nich straciło łączność z ziemię ojczystą i że nie wszędzie jeszcze na świecie ma Polska swe placówki konsularne, liczba Polaków na obczyźnie niewątpliwie dochodzi do 7 miljonów. Stanowiłoby to 25 procent ogółu Polaków na kuli ziemskiej.



Rady domowe.

Robactwo domowe i sposób tępienia go.

Wzorowa czystość w gospodarstwie najlepiej zabezpiecza przed plagą owadów i rozmaitego robactwa domowego, że jednak nieraz najporządniejsze gospodynie bywają na nie narażone, należy tedy chronić się przed tą plagą i tępić je najrozmaitszemi sposobami. Wiadomo dziś powszechnie, że robactwo domowe staje się często roznosicielami najniebezpieczniejszych chorób jak cholery, tuberkułów, tyfusu i t. p. z tego powodu musi się z niemi walczyć.

Tępienie karaluchów. Obrzydliwe to robactwo gnieździ się najchętniej po kuchniach i wogóle w starych domach, w dzień chowając się po szczelinach, na noc dopiero rozłażąc się ze swych kryjówek. Najlepszym środkiem na karaluchy jest boraks w proszku. Wymieszać go w równej części z miałkim cukrem i wysypać nim kąty kuchni i naokoło pieca. Przedewszystkiem nie zostawiać mokrych ścierek w miejscu gdzie karaluchy mogą się dostać, i kuchnię czysto zamieść aby żadnych kruszyn ani odpadków jedzenia nie było i dopiero boraksem z cukrem wszystkie kąty wysypać.

Czyszczenie ubrań.

Sposób wypróbowania czy płótno jest czysto lniane. Umoczyć palec w zwyczajnej oliwie i pociągnąć nim po płótnie na poprzek. Lniane nitki nabiorą ciemne koloru, a bawełniane pozostaną jasne. Jeżeli płótno jest z czystego lnu, zrobi się całe jednolitego ciemnego koloru.

Jak skórzane obuwie uczynić nieprzemakalnem? Wziąć pół litra olejku rogowego, ćwierć litra olejku lnianego i razem zagotować, bacząc, by się płyn nie zapalił. Gorącym płynem nacierać obuwie póty, aż się skóra zupełnie napoi i płyn już w nią nie wsiąka.

Nieprzemakalne podeszwy. Łyżkę stołową pokostu i pół łyżki terpentyny zmieszać i pociągnąć tym płynem podeszwy, gdy wsiąknie, pociągnąć powtórnie.

Przed włożeniem obuwia wysuszyć je na słońcu lub przy piecu.

Jak czyścić lakierowe rzeczy? Mąkę rozrobić oliwą i nabrawszy tej masy na miękki gałganek, nacierać rzecz potrzebującą oczyszczenia. Potem wytrzeć do sucha, czystem, miękkim gałgankiem, najlepiej flanalą, a plamy i kurz znikną, lakier zaś nabierze połysku.

Czyszczenie sukien zabłoconych. Czyścić, jak zwykle po wysuszenia z błota szczotką. Jeżeli suknia bardzo silnie zabłocona i ślady nie ustępują pomimo tarcia, trzeba na gałganek wziąć trochę czystego spirytusu i wytrzeć nim ślady błota, powtarzając to kilkakrotnie.

Czyszczenie i lakierowanie nosków u bucików. Nalepiej zmywać lakier gąbką, zmoczoną w czystej zimnej wodzie, a po wytarciu do sucha, wycierać jeszcze kawałkiem miękkiego, suchego płótna, aż nabiorą połysku. W razie uszkodzenia, pociągnąć warstwę błyszczem w płynie, jaki się używa do obuwia.

Czyszczenie tłustych plam na ubraniu, uskutecznia się przez potarcie zatłuszczonego np. kołnierza miękką gąbką lub gałgankiem nasyconym amoniakiem rozcieńczonym do połowy wodą miękką.

Czyszczenie białych, jedwabnych, gumowych pasków. Obrać trzy średniej wielkości kartofle, pokrajać w cieniutkie plasterki i staranne opłukać w zimnej wodzie. Włożyć je na czystą glinianą lub fajansową miseczkę, nalać na nią pół litra wrzącej wody i pozostawić aż zupełnie ostygnie. Wodę ostudzoną przecedzić przez sito i dolać do niej taką samą ilość winnego spirytusu. Gąbką umaczaną w tym płynie, zmywać pasek z prawej strony, dopóty, aż będzie czysty, a potem zapiąć go na zwiniętym ręczniku i wysuszyć.

Zaschnięte pasty od obuwia można zmiękczyć, dodając trochę waseliny. Stawia się pastę na gorącej blasze, rozpuszcza się ją i miesza dokładnie.

Najlepszy sposób prędkiego wysuszenia zmoczonych parasoli. Nie rozpinać ich nigdy, lecz rozsunąć trochę pręty i oprzeć rączką parasol na dół na miednicy, na którą woda ścieknie po prętach.

Jakich grzebieni i szpilek należy się wystrzegać? Grzebyki i szpilki celuloidowe są niesłychanie szkodliwe na włosy.

Czyszczenie jednego koloru futer. Gronostaje, popielice, szenszyle, nalepiej czyścić na sucho. Mocno rozgrzać mąkę lub otręby, natrzeć tem futro, wyszczotkować i dobrze wytrzepać. Mąka i otręby powinny być mocno rozgrzane, ale nie przypalone.

Czyszczenie aksamitu. Na trzy części wody letniej wziąć jedną amoniaku i tym płynem gąbką zwilżyć aksamit z lewej strony. Po tem go trzeba sztywno wyciągnąć i trzymać mocno przez dwie osoby, przeciągnąć z lewej strony gorącem żelazem, dopóki nie wyschnie.

Oczyszczenie pożółkłych kapeluszy łyczkowych. Pożółkłe kapelusze naciera się mocno soczystą cytryną, tak, żeby przesiąkły nawskroś, a potem na mokro osypać je kwiatem siarczanym w proszku. Gdy już kapelusz wyschnie, nakryć wilgotnem płótnem i wyprasować gorącem żelazem. Wreszcie wyszczotkować, dla usunięcia pozostałej siarki.

Sposób na usunięcie ciemniejszej obwódki po oczyszczeniu benzyną. Na spodeczku mieszać w równych częściach spirytus (nie drzewny i nie denaturowany, lecz taki, jaki się używa do wódek) i eter siarczany. Tym płynem nabranym na kawałek tego samego co suknia materjału, wycierać prędko plamę zaczynając od obwódki. Nie wiele nalewać na spodeczek, bo płyn ulatnia się w mgnieniu oka. Robić to w dzień, w pokoju, gdzie niema ognia, gdyż eter, jako b. palny, zapala się na znaczną nawet odległość.

Czyszczenie dębowych mebli.

Splamione lub brudne miejsca wyciera się najcieńszym papierem szmerglowym, dokąd plamy nie znikną — potem naciera się miękką szmatką, umaczaną w benzynie z rozpuszczonym białem woskiem i szczotkuje aż do połysku twardą szczotką.

Użytek z popiołu.

Chociaż dziś przeważnie palimy węglem, w niejednym jeszcze domu, szczególnie na wsi pali się jeszcze drzewem, a popiół się wysypuje, jako niepotrzebny. Tymczasem w życiu praktycznem ma on szerokie zastosowanie. W popiele przechowują się doskonale wędliny, szynki i jaja, układając je warstwami w skrzyniach i przesypując popiołem tak, aby próżne miejsce nie zostawało. Wędliny tak przechowane, nie pleśnieją i nie wysychają; — skrzynie trzyma się w chłodnem miejscu. Przed użyciem trzeba wędlinę dobrze miotełkę okurzyć i starannie wymyć.

Naczynie aluminiowe.

Naczynie aluminiowe, tak czyste i pewne w użyciu, musi być czyszczone umiejętnie. Nie wolno je czyścić popiołem, ani wygotowywać ługiem, sodą lub kwasem solnym, jeżeli nie chcemy go niszczyć. Gdy garnek wewnątrz zczernieje, co zdarza się, choć zagotujemy w nim czystą wodę, należy go namydlić specjalnem mydłem, które nie zawiera w sobie sody i wytrzeć cieniuchnymi miękkimi, jak włos, wiórkami, metalowymi.

Złamany krzyż.

Opowiadanie z 1864 roku.

Jenerał Bremsen*) na czele oddziału jedzie drogą od Szadku do Zduńskiej Woli (miasteczko w pow. Sieradzkim).

Jedzie powoli traktem wśród lasu i patrzy uważnie po obu stronach. Bo to las odebrany buntowszczykom, a jemu oddany za usługi przy poskramianiu buntu.

Jego niemiecko - moskiewska dusza cieszy się, obliczając, ile to wart taki las, takie świerki, takie sosny masztowe, Do Warty niedaleko, można będzie spławiać do Prus, a talary zgarniać do kieszeni.

W tem spojrzał, zaklął na cały głos. Dwóch adjutantów w skok podjechało bliżej.

— Do kroćset czortów, już trzeci krzyż nad drogą, tu nad traktem w moim lesie! Stać!!! Krzyż wykopać i wyrzucić!

Na komendę oddział stanął, żołnierzy rozesłano do chałup najbliższych po szpadle.

*) Jenerał Bremsen przysłany był w r 1864 do powiatu Sieradzkiego dla wyłapania resztek powstańców, kryjących się po lasach. Znany był z okrucieństwa i nieludzkości.

Szpadle zabrano, chłopów nahajkami spędzono i kazano im kopać. Chłopi opierają się. Krzyż—świętość. Niedziela—święto. Nie pomaga bicie, katowanie nahajkami, krwią oblani, padają na ziemię — nie chcą...

Więc żołnierze dostali rozkaz zsiadania z koni, i oni się ociągają, chcieliby się cofnąć, ukryć jeden za drugiego i oni nie radzi z krzyżami wojować — ale muszą, komendy nie usłuchać nie wolno. Więc biorą szpadle, wsadzają w ziemię, zgrzyt się odzywa w jednym, w drugim miejscu, pokazuje się, że krzyż obłożony wielkiemi kamieniami, które się ruszyć nie dadzą. Jeden z żołnierzy chciał podważyć kamień, szpadel mu się obsunął i przeciął głęboko nogę.

Pierwsza krew popłynęła obok krzyża.

— Siekier! — krzyczą oficerowie na wieśniaków.

Ale wieśniacy nie czekali; jak ich tylko przestano bić i odepchnięto od krzyża, korzystając z odwróconej od nich uwagi, pochowali się w lesie, zdaleka tylko niewidzialni patrzyli, co będzie z tym symbolem Bożej męki, tak dla nich drogim.

W braku siekiery wzięto toporki do łupania

drzewa. Dwuch żołnierzy stanęło obok krzyża i z ciężkim „eeeeh“ uderzyli. Nawet drzazga nie poleciała z twardego, przez czas prawie skamieniałego dębu, naraz toporzysko zostało w ręku jednego z żołnierzy, a ostrze odbite od twardego drzewa, uderzyło w twarz żołnierza, gruchocząc mu nos, kalecząc czoło. Żołnież padł wznak — z drugiej strony podstawa krzyża została krwią oblana. Okrzyk wydarł się z piersi wszystkich patrzących, ludzie zbledli przerażeni.

Jenerał wściekał się, bił, kopał żołnierzy, klnąc, wymyślając, przecież toby była hańba dla niego, gdyby przed marnym krzyżem ustąpił.

— Sznurów! — krzyknął ochrypły.

Niechętny pomruk szedł po wojsku, ale sznury przyniesiono. Zarzucono je na ramiona krzyża i dziesięciu ludzi zaczęło ciągnąć. Krzyż ani drgnął. Dwudziestu, trzydziestu—wszystko za mało. Rzucono więcej sznurów, stu ludzi blisko na komendę pociągnęło. Wtedy rozległ się trzask, który odbił się bolesnem echem w sercach ukrytych wieśniaków.

Krzyż był złamany na połowę.

Ale jednocześnie z pod krzyża wydobyły się jęki, i krzyknął boleśnie sam jenerał, stojący o kilka kroków. Ostra drzazga odskoczyła od krzyża i uwięzła mu w twarzy tuż około oka. Krzyż zaś padając, przygniótł dwóch żołnierzy i adjutanta.

Krew popłynęła po raz trzeci.

Żołnierze byli mocno pokaleczeni. Opatrzono ich i ułożono na wozie, adjutanta tylko nie zdołano otrzeźwić: przypłacił życiem zbytnię służalczość, gdyż w chwili krytycznej sam schwycił za sznur i ciągnął dla przypodobania się jenerałowi. Zmarłego złożono na drugim wozie.

Jenerał obmył krew z twarzy, wsiadł na konia i ruszył naprzód ku Zduńskiej Woli, ale już teraz milczał. Oddział sformował się, rozwinął i poszedł za nim, wozy na końcu wlokły się powoli.

Kiedy już wszyscy zniknęli na zakręcie drogi, pomału, ostrożnie z lasu wyszli wieśniacy. Dużo ich było — i kobiet i dzieci, nie wiadomo skąd się tak prędko tylu ich zebrało. Z płaczem rzucili się wszyscy całować sprofanowany krzyż. Potem dźwignęli odłamaną górną połowę i oparli o drzewo, tuż za krzyżem rosnące, umocowawszy dobrze wśród gałęzi, żeby się przewrócić nie mogło. Dzieci przez ten czas zbierały wszystkie drzazeczki i składały pod krzyżem, dziewczęta wyrywały kwiaty gałązki i maiły krzyż. Skończywszy, uklękli wszyscy i przyciszonym głosem, ale zgłębi duszy zaśpiewali: „Serdeczna Matko“.

Na drugą niedzielę znowu gromada ludzi, ale już znacznie większa, zebrała się pod krzyżem: byli i panowie w czamarach i panie w kapeluszach, a wszyscy spoglądali na drogę od Szadku.

Na drodze wśród kurzu ukazała się bryczka.

Jedzie! jedzie! — wołano i cała gromada poruszyła się. Bryczka, podjechawszy bliżej, zwolniła biegu, posuwała się bardzo powoli; wszyscy odkryli głowy, poklękali.

Jadący na bryczce ksiądz odrzucił płaszcz, w komży i stule stojąc, odmawiał modlitwy, uświęcające nanowo sprofanowane krwią ludzką miejsce. Dojechawszy wprost krzyża, trzy razy rzucił dalego wodę kropidłem umoczonem w stojącej u stóp swojej kropielnicy. Pokropił wszystkich obecnych i natychmiast płaszcz zarzucił i usiadł. Chłopak powożący śmignął biczem i bryczka szybko potoczyła się dalej.

Czas też był wielki po temu: na drodze od Zduńskiej Woli ukazali się moskale. Dojechawszy do księdza, zatrzymali go, przejrzeli bryczkę. Na zapytanie ksiądz im odpowiedział, że jedzie do chorego; tak też było w istocie; sprawdzili to, odprowadziwszy go do drzwi chaty, i pojechali dalej.

Pod krzyżem, gdy ktoś krzyknął: „Moskale!“, w mig nie zostało nikogo. Moskale, dojechawszy, zobaczyli tylko przystrojone obie połowy krzyża i dużo kwiatów, rozsypanych po ziemi.

Obie połowy złamanego krzyża stoją dotąd; każdy, jadący obecnie od Zduńskiej Woli do Szadku, po prawej stronie drogi, może go zobaczyć.

Bremsen lasu z krzyżem nie chciał: dano mu inny o parę wiorst dalej.

. . . . . mira.



HUMOR.

Mojżesz i Wilson.

Dzienniki amerykańskie opowiadają następującą anegdotę:

Gdy Wilson stanął u wrót niebieskich, to spotkał tam Mojżesza. Między temi dwoma ludźmi wywiązała się następująca rozmowa:

— Zdaje mi się, mam przyjemność rozmawiać z panem Wilsonem? — spytał Mojżesz.

— Tak jest! — odparł były prezydent Stanów Zjednoczonych. — O, jakże mi żal pana! — zawołał na to patrjarcha żydowski.

— A to z jakiego powodu? — spytał zdziwiony Wilson.

— Czy nie jest pan Woodrowem Wilsonem, prezydentem Stanów Zjednoczonych?

— No tak!

— I autorem tych słynnych czternastu punktów, które przyczyniły się do skończenia wojny światowej na ziemi?

— Tak, ja jestem istotnie ich autorem.

— Jakże okropnie — westchnął na to Mojżesz — żal mi pana, gdy pomyślę, co ludzie zrobili z tych pańskich czternastu punktów!

— W takim razie — odparł Wilson — niechże pan zejdzie na ziemię i zobaczy, co ludzie uczynili z pańskich dziesięciorga przykazań.

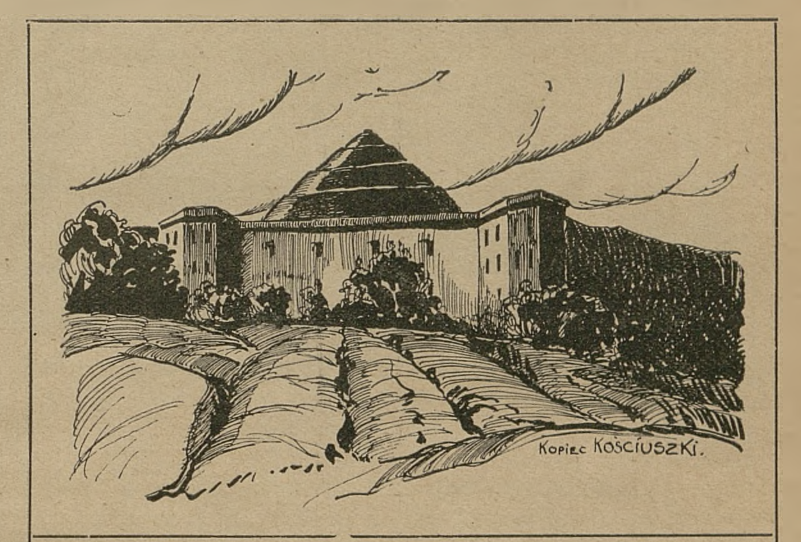


ZBLISKA i ZDALEKA

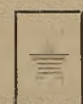




Kraków. Wawel, gdzie mieszczą się groby królewskie.

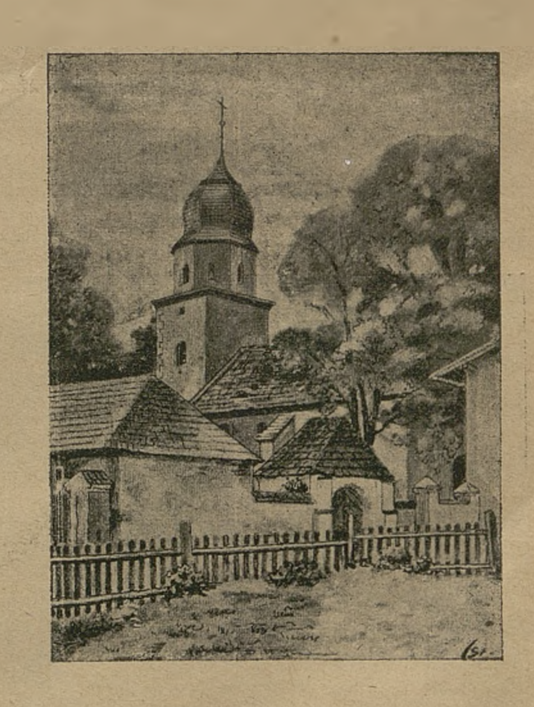


Kraków. Kopiec Kościuszki w dzisiejszych czasach.





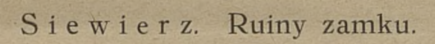
Poznań. Kościół katedralny.



Lubsza. Kościółek starożytny.



Radzyń. Ruiny zamku.



Siewierz. Ruiny zamku.





Jezioro Radunia.

OGNISKO DOMOWE
DEUTSCHE BEILAGE

OBERSCHLESIER.

I. Dort, wo die schwarzen Diamanten
tief ruhen in der Erde Schacht,
wo die ächzende Maschine
heraufholt aus der öden Nacht;
dort lieg die arme, sand'ge Scholle,
wo einstens meine Wiege stand,
das ist, dem Herzen ewig nahe,
mein liebes, teures Heimatland.

II. Ich seh's vor mir in stillen Träumen,
bin ich von Ihm auch noch so weit,
ich denke meiner wundersel'gen,
der goldnen, sonn'gen Jugendzeit —
ein Glück, wie ich es da genossen,
ich nimmer, nimmer wieder fand,
drum bleibt mir ewig unvergesslich
mein liebes, teures Heimatland,

III. Ich hab' viel Schöneres gesehen
In Gottes zaubervoller Welt,
Uud oft wohl hat mir meinen Busen
die Pracht und Herrlichkeit geschwellt —
Doch wenn daheim der lichte Christbaum,
Die Tanne auf dem Tische stand,
Da dacht ich dein in heissem Sehnen,
Mein liebes, teures Heimatland.

IV. Und hat Natur auch deine Auen.
Mit lichten Farben nicht geschmückt,
Dass sich das Auge, trunken staunend,
An deiner Reize Pracht entzückt —
Grünt dir der Wald doch frisch und fröhlich
In Winterschnee und Sonnenbrand,
Und singt ein Lenz dir tausend Lieder,
Mein liebes, teures Heimatland.

V. Und mögen sie dich auch verlästern,
Dass du voll Schloten, Rauch un Qualm,
Dass kümmerlich auf deinen Feldern
Nur spriesst des gelben Kornes Halm —
Stolz kanst du dich des Reichtums rühmen,
Den du gewinnst mit fleiss'ger Hand
In riesenhaft gewalt'ger Arbeit,
Mein liebes, teures Heimatland.

VI. Das Feuer, das in deinen Hütten
in sternenhellen Funken sprüht,
das Eisen, das in rotem Strome
geschmolzen aus dem Ofen glüht —
der klang der Hämmer, den ich höre,
wenn mich Erinn'rung hold gebannt,
ist Poesie für mich, vielsüsse,
mein liebes, teures Heimatland.

VII. Und sterb' ich — ach! nicht in der Fremde
will ruh'n ich und begraben sein,
in deinem heil'gen Boden will ich
verschlafen alle Erdenpein.
Gib, Himmel, dass ich's noch erreiche,
eh' mir des Lebens Sonne schwand,
dass ich erreich' das vielgeliebte,
das teure, traute Heimatland.

M. H.

Die heilige Hedwig.

17. Oktober.

Die grosse Schutzpatronin Schlesiens war eine der edelsten Fürstinnen, eine segenspendende Landesmutter, deren Erinnerung im dankbaren Volke nie erlöschen wird. Um 1174 als Tochter des Grafen Berthold IV. auf dem Schlosse Andechs in Oberbayern geboren, im Kloster der Benediktinerinnen zu Kitzingen am Main erzorgen zwölfjährig mit Herzog Heinrich von Schlesien vermählt, wurde sie die Mutter von 7 Kindern, die sie mit gröster Sorgfalt in christlichem Geiste erzog. Auch das Herz ihres Gemahls verstand sie mit der hohen Gesinnung zu erfüllen, von der sie selbst beseelt war. Im Verein mit ihm liess sie sich mit unablässigem Eifer die Christianisierung und Kultivierung ihres Landes angelegen sein und rief zu diesem Zwecke viele Ordensleute herbei: Augustiner, Dominikaner, Franziskaner, Prämonstratenser, Templer und Zisterzienser, denen sie allen Klöster gründete. In dem von ihr gestifteten Zisterzienser-Nonnenkloster nahm sie selber nach dem Tode ihres Gemahls das Ordensgewand und widmete sich von da an ganz den Werken der Frömmigkeit und opferfreudigen Nächstenliebe. Alle Heimsuchungen in der eigenen Familie ertrug sie in demütiger Gottergebanheit. Unermesslich waren die Beweise ihrer Wohltätigkeit gegen die Kirchen und Klöster, gegen die Armen und Notleidenden jeder Art. Ihr tugend, taten und segensreiches Leben endete am 15. Oktober 1243.

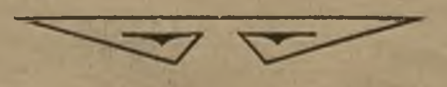


Der Bettler.

Hebel-Reinick.

Ein alter Mann, ein armer Mann
Spricht euch um eine Wohltat an,
Von eurem Tisch ein Stücklein Brot!
Erbarmt euch mein in meiner Not,
Tut es um Gottes willen!
In Sturm und Wetter, arm und blass,
Geboren bin ich auf der Strass';
Und auf der Strass' in Sturm und Wind
Erzogen, arm, ein Bettelkind.
Drauf, wie ich krästig worden bin,
Da Starben mir die Eltern bin.
Da dacht' ich denn: Soldatentod
Ist besser doch wie Bettelbrod. —
Ich hab' in schwarzer Wetternacht
Vor Zelt und Fachnen oft gewacht.
Gefochten hab' ich wie ein Mann,
Manch feindlich Blut vom Säbel rann.
Von mancher Batterie ich strit,
Wohl zwanzig Schlachten macht' ich mit,
Und treu und tapfer, sicherlich,
Schlug ich durch Schwert und Kugeln mich,
Bis Sie zuletzt mit lahnem Arm
Mich heimgeschickt, dass Gott erbarm!
Ach ja, durch Gottes Willen! —
„Komm, armer Mann!
Ich geb' dir, was ich geben kann.
Und weiter helf' der liebe Gott
Und geb' dir Trost in deiner Not". —

Vergelt's dir Gott und dank dir Gott!
Du zarter Engel weiss und rot.
Er geb' dir einen braven Mann. —
Was siehst mich so beweglich an?
Hast auch wohl einen Schatz im Zelt,
Mir Schwert und Ross im weiten Feld?
Erspar' der Herr dir Weh und Leid,
Geb' deinem Schatzt ein gut Geleit,
Und bring' gesund ihn wieder her!
Es geht jetzt scharf im Felde her;
Vielleicht dass ist dir sagen kann — —
Du wisrt ja blass! Was siehst mich an? — —
Ich denk', den Bart werf' ich zur Seit'
Und auch das falsche Bettelkleid!
Und jetzt schau her und kennst mich noch?
Gott geb, ich bin willkommen doch! — —
„Herr Jesus, der Friedel, mein Friedel ist da!
Willkommen, willkommen! da hab' ich dich ja' —
Wo immer ich ging, im Feld und im Wald,
Da war mir, als säh' ich auch deine Gestalt!
Wie ist dir gefolgt mein bekümmertes Herz
Durch Schwerter und Kugeln, in Hossnung und Schmerz
Mit Beten und Weinen! Gott hat mir willfahrt
Und hat meinen Friedel vor Unglück bewahrt.
Wie klopft mir's im Busen, ich bin ja bei dir!
Ach Mutter! so komm doch, mein Friedel ist hier!'



Der unheimliche Passagier.

Eine Geegeschichte von Werner Granville-Schmidt.

Im Juni des Jahres 1902, wir lagen damals mit unserer Bark in Acapulco, einer kleinen meksikanischen Hafenstadt am Stillen Ozean, erkrankte ich heftig am Fieber und wurde dem dortigen Hospital überwiesen. Aus ich nach einigen Wohen geheilt entllassen wurde, war mein Schiff abgesegelt und es bot sich in absehbarer Zeit keine Gelegenheit, mit einen Dampfer oder Segler in die Heimat zurückzukehren. Eines Tages lief eine italienische Brigg ein. Ich sehe sie noch wie heute vor mir: den düsterschwarzen, hölzernen Rumpf, die zeitgedunkelten Masten und die schmutzig-grün gestrichenen Decksaufbauten. Mein erster Gedanke beim Anblicke des alten, verwahrlosten Kastens, der sicherlich ein halbes Jahrhundert auf dem Rücken hatte, war: ein schwimmender Sarg.

Als ich jedoch hörte, dass die Brigg nach Cadiz bestimmt war, stand es für mich fest, dass ich versuchen musste, eine Heuer anf dem alten Seelenverkäufer zu bekommen. In Acapulco konnte ich sonst noch monatelang herumlungern, während im spanischen Cadiz fast immer Fahrgelegenheit nach Heimat war.

Das Glück war mir insofern hold, als zwei Mann der Besatzung unterwegs Berry-Berry gestorben waren.

Der Kapitän, ein bejahrter, lebhafter Italiener, war froh, einen befahrenen Ersatzmann zu bekommen und musterte mich sofort an.

Am Morgen der Ausreise kam unser Kapitän Bartolletti mit ein Fremden an Bord.

Der Koch, mit dem ich gerade plaudernd vor der Kombüsentür stand, bekreuzigte sich beim Anblicke des Fremden und murmelte scheu: „Heilige Madonna — der Tod kommt an Bord"!

Auch ich konnte mich eines Erschauerns nicht erwehren, als mich die prüfenden Blücke des Fremden streiften. Sein wächsernes, eingefallenes Gesicht. in dem zwei dunkle, unruhige Augen aus tiefen Höhlen in verzehrendem Feuer glühten, war von einem schwarzen Vollbart umrahmt; seine hagere Gestalt umhülte, trotz der Tropenhitze, bis zum Kinn oin Mantel.

Er erweckte tatsächlich den Eindruck eines vom Grabe Erstandenen und litt augenscheinlich noch 'jetzt unter den Nachwirkungen eines schweren Fiebers.

Vom Steuermann erfuhren wir nachher, dass der Fremde ein portugiesischer Kapitän war, der sein Schiff an der meksikanischen Küste verloren hatte und der nun, nach langer Krankheit, als Passagier nach Europa zurückwollte.

Die abergläubischen Italiener waren überzeugt, dass die Anwesenheit eines so unheimlichen Menschen dem Schiffe Unglück bringen musste, und manchermisstrauische oder feindselige Blick traf ihn, als er an Kapitän Bartolettis Seite nach „Achtern" ging, wo ihm neben den Kabinen des Schiffsführes und des Steuermannes eine leere Kammer eingeräumt war.

Gegen Abend, als eine ablandige Brise einsetzte, gingen wir unter Segel.

Unser Kurs lief parallel zur Küste und an Backbord sichteten wir dauernd die Bergketten des meksikanischen Hochlandes.

Um Mitternacht begang mein Rudertörn.

Kurz nach Zwölf kam Kapitän Bartoletti noch einmall an Deck. Er warf einen prüfenden Blick nach den Segeln, stellte auf der erleuchteten Kompassrose fest, ob das Schiff auf dem richtigen Kurse anlag und sagte zu mir: „Wenn du um Vier abgelöft wirst, kannst du mich wecken. Ich habe einen ziemlich festen Schlaf. Falls ich nicht gleich antworte, komme nur in meine Kammer und rüttle mich auf."

Damit verschwand er und ich hörte, wie er leise pfeifend die Treppe zum „Salon" hinunterstieg. —

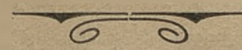
Sowie ich um Vier vor einem Kameraden abgelöft wurde, ging ich nach unten, um Bartoletti zu wecken. Auf mein derbes Klopfen ertönte keine Antwort. Ich drehte also den Riegel und trat ein. Eine beklemmende Stille herrschte in der dumpfen Kammer, die durch ein einziges Bullauge Luft und Licht von aussen empfing. Irgendwie im Unterbewusstsein empfand ich diese Stille als beängstigend. Ich lauschte, um die Atemgeräusche des Schlafenden, den ein Kojenvorhang meinen Blicken entzog, zuhören; aber kein Laut war vernehmbar. Als auf ein zweimaliges Rufen keine Antwort erfolgte, schob ich den Vorhang beiseite.

Erschrocken prallte ich bei dem Anblicke, der sich mir bot, zurück. Bartoletti lag auf dem Rücken; sein Gesicht war blauschwarz angelaufen und seine gebrochenen Augen, mit den unnatürlich vergrösserten Pupillen, schienen mich drohend anzustarren.

Unser Steuermann rief in seiner Bestürzung alle Heiligen an und zerbiss ein Dutzend echt

italienischer Verwünschungen zwischen den Zähnen, als ich ihm Bartolettis Tod meldete.

Ich musste ihn in die Kapitänskammer begleiten, wo er eine Untersuchung der Leiche vornahm. Sonderbarerweise war eine äusserliche Verletzung nicht aufzufinden, und da es wohl als ausgeschlossen galt, dass der lebenslustige Käpiten Selbsmord begangen hatte, standen wir vor einem völligen Rätsel.



Die alte Bäuerin.

Die Achtzigjährige sitzt vor dem Bauernhof auf der Höhe und blinzelt in die leuchtende Bläue des Himmels. Die tiefe, schon ein wenig müde Stille des Spätherbstes atmet um sie. Nur hin und wieder verflogene Rufe einzelner Feldarbeiter das einförmig-behagliche Schnurren der Katze neben ihr, und das leise Knarren des Kinderwägelchens, das ihre lederbraune Gichthand in Bewegung hält. Auch Nero, der seine Glieder von sich gestreckt hat, als gehörten sie nicht zu ihm lässt sich wohlig von dem milden Scheincn durchdringen.

Die alten, weitsichtigen Augen schweifen über Stoppeläcker weg, auf denen Gespinst der Marienfäden silberig schimmert, wo sie den ackernden Sohn mit dem Ochsengespann als dunklen Schattenriss auf der Höhe hinziehen sieht, oder den Hang hinunter zum halbwüchsigen Enkel, der seine Not mit dem Schafen hat, die immer wieder in die junge Saat wollen. In der gläsernen Klargeit der Luft kann sie auch beobachten, wie der grossere Teil der Familie beim Kartoffelernten beschäftigt ist. Von dort zieht starker Erdbrodem der frischgelockerten Scholle berüber, der mit dem Moder welken Laubes und berbem Duft von Rüben und Krautköpfen zu dem besonderen Herbstduft ineinanderwogt.

Das verhutzelte Weiblein sitzt als Wächterin vor dem verlassenen Hofe und das schlafende Jüngste ist ihrer Hut anvertraut. So widersteht sie der Lockung des Schlummers und gerät ins Sinnen. Allerlei Einzelheiten heben sich farbig aus dem langen, grauen Gewebe ihres Lebens. Auch vorwärts an den nahe drohenden Winter denkt sie, der so bitter für die alten Leute ist. Wohl ist's in der dumpfigwarmem Wohnstube, in der unaufhörlich die Klötze knacken, tagsüber gut sein. Aber vor der kalten Schlafkammer graut ihr, mit dem eisigen Bett, in dem auch Wärmflaschen wenig helfen. Und krankt darf man schon gar nicht werden! Überhaupt wär's das Beste, wenn der liebe Herrgott sie endlich einmal sanft hinüber nehmem wollte! So viel müd ist sie schon, und das bissel Arbeit, das sie gern noch leisten möchte, wird ihr alle Tage schwerer. Auch quälen sie allerhand Gebresten. Aber kurz und gnädig soll er's machen, ohne langes Siechtum, damit sie den anderen nicht unnütze Esserin wird und mühsame Last. An die anderen denkt sie vor allem. Wie's „drüben" werden wird, darüber macht sie sich keine schweren Gedanken. War allezeit viel Arbeit in ihrem Dasein, viel Sorgen, Not und Schmerz, und dem Herrgott hat sie gegeben, was des Herrgotts ist. So, meint sie, wird er schon leidlich mit ihr zufrieden sein und das abgerackerte Weibl ans gütige Vaterherz nehmen zur ewigen Ruhe. —

Aber da hat sich der Kleine im Schlaf völlig bloss gestrampelt. Sie erhebt sich mühsam, das Kind zuzudecken. Ein wenig schwindlig ist ihr dabei und ein paar Augenblicke muss sie sich auf das kräftige Korbwägelchen stützen, das ihre eigenen Sieben und des Ältesten Fünfe heil ausgehalten hat. Dann sitzt sie abermals nieder und lehnt sich erschöpft gegen die Wand. Ein paar Rauschgoldblättchen der nahen Birke flattern knisternd vorüber. Die alte Frau dröselt vor sich hin und fühlt wohlig das warme, zärtliche Umfangen der Sonnenstrahlen. Ein wenig wehrt sie sich noch gegen weich heranquellenden Schlaf. Ein ausfliegender Blick erfasst noch blaues Leuchten und buntes Flammen der Waldhänge — sonnengolden wogt es um sie, in ihr . . . Dann gleitet sie mählich und sanft in tieferen Schlaf . . .

Der Kleine im Wägelchen beginnt zu greinen. Er versucht sich aufzurichten und weint lauter, weil die Grossmutter sich nicht ihn kümmert. Die Katze fährt mit einen plötzlichen Satz von der Bank. Nero stupft mit der Nase sanft gegen das Knie der Alten, als wolle er sie aufwecken zu ihrer Pflicht. Dann fängt er in langgezogenen Tönen zu heulen an

Aber die alte Bäuerin ist in den tief-tiefen Schlaf versunken, aus dem sie kein irdischer Laut mehr zu wecken vermag. **B. Reutlin.**



HUMOR

Die Stadtpflanze.

Ein Pensionatsfräulein aus der Stadt besucht zum erstenmal im Leben ein grosses Landgut. Beim Mittagmahl befühlt sie das Tischtuch und sagt: „Ach, welch herrliches Leinen!"

Lächelnd entgegnet der Gutsherr: „Ja, das ist auch auf meinen Aeckern gewachsen".

Erstaunt meint das Fräulein: „Ach, wie reizend. Wie haben Sie das denn angefangen? Wie macht man das?" Worauf der Herr des Hauses sarkastisch antwortet: „Sehr einfach, ich pflanze alte Leinnenfetzen ein, die wachsen dann".

Umschrieben.

Egon hatte ein Rendezvous mit Elli. Wartet eine halbe Stunde, sie kommt nicht. Wartet noch eine halbe Stunde, sie kommt immer noch nicht.

Egon ärgert sich, denkt daran, dass es auch noch andere Mädchen gibt, und geht.

Ein paar Tage sind verträufelt. Egon schwingt sich in die Strassenbahn und sieht — im selben Wagen sitz Elli.

„Guten Tag", sagt Elli.

„Adieu", sagt Egon und will nach vorne.

„Wenn du mich so behandelst, lasse ich dich stehen!" droht Elli.

„Merkst du nicht, dass du schon sitzt?" fragt Egon.

Opferwillen.

Frau Zangerl fallt in schr an tiafen Bach,
denn so a Bröckerl tragt das Bret vom Steg net.
Erschrocken schaut ihr Mann der Alten nach
und auf ihr Hilfeschreien er entgegnet:
„Ich renn' um Hilf' jetzt gleich ins nächste Ort!"
„Das ist zu weit", schreit sie, „ich muss dersaufen".
„Sei überzeugt", sagt er und springs schon fort
„Für dich möcht' ich sogar noch weiter laufen".

Diskretion.

Vereinsvorstand: „Vergessen Sie nur nicht, in der Notiz für den Dorfanzeiger' zu bemerken, dass Direktor Schwätzer in der letzten Sitzung versprochen hat 20.000 zloty zu unserem Jubiläum zu stiften".

Sekretär: „Aber, Herr Vorstand, die Schenkung soll doch ganz diskret behandelt werden".

Vorstand: „Lassen Sie, ich kenne den Direktor besser. Wenn dass nicht in der Zeitung steht, bekommen wir keinen Groschen".

Im Eifer.

Bauer zu seinem Ochsen: „Wir beide könnten leben wie zwei Brüder, wenn du nicht so ein störrisches Luder wärst!"

Unmöglich.

„Mein Mann arbeitet im Dienste der Behörde und dabei kann man wahrhaftig verhungern". —

„Ach, kann er sich denn nicht um private Kundschaft umsehen?" —

„Nein, dass geht nicht gut. Er ist nämlich Scharfrichter!" — —

Lebenstellung.

Kaufmann Rechenmayet zur Erwählten seines Herzens: „Natürlich müsstest du, wenn wir heraiten, auch im Geschäft mit tätig sein, Liebste, und wenn du dich treu und flessig erweist, haft du bei mir eine Lebenstellung!"

Gute Antwort.

Herr: „Also, dein Meister ist plötzlich gestorben?" —

Lehrbub: „Ja, sein Herz und seine Hand haben aufgehört zu schlagen!"

||||||||||

Kurz, ehe der letzte Akt zu Ende ging, erhob sich ein Mann im ersten Rang und stapfte wütend hinaus und schmiss die Tür hinter sich zu.

Das Spiel stockte. Den Akteuren rann es kalt über den mimischen Rücken.

Es war im Schauspielhaus zu Leipzig.

Ich sass gratis in der Direktions-Loge, schotz wie der Blitz zum ersten Rang hinaus, wo ich den Protestler eben noch erwischte.

„Sagen Sie ganz aufrichtig..." bat ich ihn schmeichlerisch, „warum Sie das Lokal verlassen haben!"

„Aus bersöhnlichem Interesse!" hauchte er mich an.

Und verschwand hurtig in der Toilette.

Hans Reimann.

||||||||||

„Ach, von der Reise zurück! Wie war es, waren Sie gut aufgehoben?"

„Ja, sehr ländlich, bei einem Kleinbauer."

„Wie war die Beköstigung?"

„Ja, das ist so eine Sache gewesen. Erst starb ein Schwein, und da hatten wir acht Tage Schweinebraten. Rachher starb ein Kalb, und da lebten wir vierzehn Tage von Kälbernem. Schliesslich erkrankte die Schwiegermutter — da bekam ich es mit der Angst und reiste schleunigst ab."

||||||||||

„Was ist mit Lehman?"

„Er mutz sitzen."

„Warum?"

„Weil er gestanden hat."





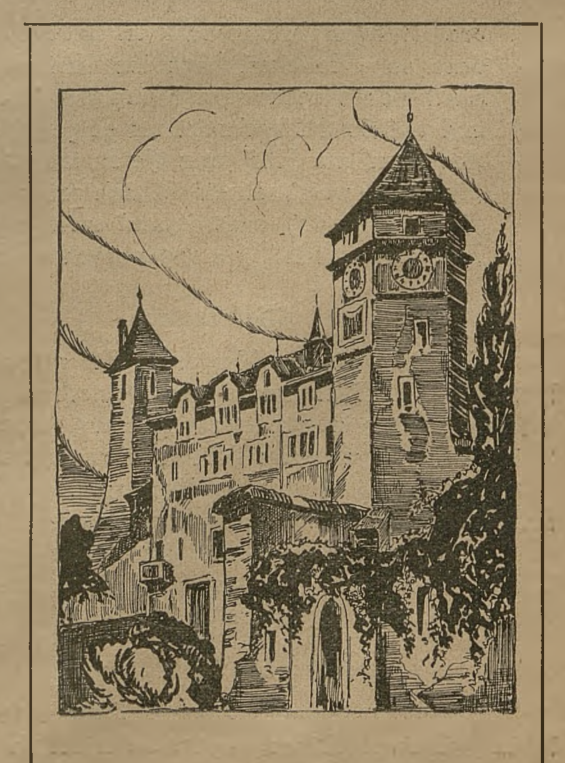
I. Oksywie.
Die Alte Kirche.

II. Gniezno.
Kathedral-Kirche.



III.
Mława. Das Schloss





IV. Assyż.

V. Rapperswil.
(Schweiz).
Das polnische National-Museum, wo sich das Herz vom Tadeusz Kościuszko befindet.



VI.
Opatów
St. Martin-
Kirche.

VII.
Opatów
Warschauer-
Tor.



INSERATEN-TARIF:

Titelseiten	100 zł.
Rückseite	100 „
Einlageseiten	130 „
1/1 Seite	100 „
1/2 Seite	50 „
1/4 Seite	25 „
1/8 Seite	13 „
1/16 Seite	7 „
1/32 Seite	4 „
Abonnem. monatlich.	4 „

Bei mehrmaligen Bestellungen ntsprechender Rabatt. Gebühren für Inserate dürfen **nicht** an unsere Aquisiteure im Voraus, sondern nur an unsere eigens dafür bestimmten **Inkassobeamten entrichtet** werden.

Verantworte, für den deutschen Teil JERZY MALCHAREK — Król.-Huta.